

Mostecky Jaroslav

Przyjaciel z żyta

Z „Fahrenheit”

To urocze opowiadanie pojawiło się w zeszłym roku w szóstym numerze czeskiego czasopisma "Ramax".

Tata ciągle krzyczał. Spaliliśmy z Tommym w stodole, by nie musieć go słuchać. Mama tak kazała. Powiedziała, że kto się zbliży do domu, dostanie w tyłek ze śrutówki parę grudek soli. Patrząc na jej minę, widać było, że mówiła to co najmniej na pół poważnie. Oczy miała załzawione, aż mi jej było żal. Tommy wpił się w nią jak kleszcz. Krzyczał, że jej nie da i mężnie spoglądał w kierunku okna, za którym powinien być tato.

Nie wiedział jednak, że tym razem tato nie był pijany, że ledwie daje radę na mamę spojrzeć, że tym razem nawet nie mógłby jej skrzywdzić. Ten grzechotnik, który go ukąsił, musiał być zaraz po linieniu, powiedział wczoraj pan doktor, którego mamusia wezwała, i który przyjechał w starym fordzie. Kiedyś próbował nam wmówić, że te dwa przestrażyły w drzwiach ma na sumieniu Jesse James, a ja i tak dobrze wiem, że Jesse napadał pociągi, a auta wtedy jeszcze w ogóle nie jeździły... Albo być może ten gad, mówił doktor, tuż przed tym nim ukąsił tatę, ukąsił jeszcze coś innego. Nie miał już za dużo jadu, i dlatego to tak długo teraz trwa...

Jeszcze się nawet porządnie nie ściemniło. Tommy głośno westchnął, odgarnął koc i usiadł.

- A co jeśli węże są też tutaj, Andy?

- Daj spokój - odegnałem go ręką. - Całe życie się tutaj bawimy... Widziałeś tu kiedyś jakiegoś?

Dwie żółte i dwie czerwone żaróweczki, które przed dwoma tygodniami kupiłem w magazynie u pana Poznicka, połączyłem z baterią z tej wielkiej latarki taty i zawiesiłem nad wrotami, zamrugały jakby chciały potwierdzić moje słowa. Przysiadłem i wyjrzałem przez półotwarte wrota na podwórze. Był to strasznie dziwny wieczór. Na zewnątrz latały nietoperze, a wokół rozżarzonych żarówek roiło się więcej komarów niż kiedykolwiek indziej. I krowy ryczały inaczej...

Tommy był jeszcze małym chłopcem, ale dla mnie było jasne bardziej niż słońce, że jeśli tato naprawdę umrze, to zostanę najstarszym mężczyzną w gospodarstwie. Wszystko będzie na mojej głowie, psiakrew. Całe to latanie wokół krów, naprawianie płotu i reszta... Będzie jeszcze gorzej, bo oprócz tego mama każe mi chodzić do szkoły, myć ręce przed jedzeniem i w ogóle... Mama myśli, że jestem mały i ciągle tylko zajmuję się głupstwami. Ale tych moich dwunastu lat nie może nie zauważyć, co to, to nie. Jeśli tata umrze, to od jutra zajmuję jego miejsce przy stole.



O AUTORZE

Jaroslav Mostecký o sobie: Nazywam się Jaroslav (Jarek) Mostecký, mam 39 lat. Może zainteresuje Was, że moja rodzina po mieczu o trzy generacje wstecz pochodzi skądś z Polski. Dziś już nikt nie pamięta skąd... Trzykrotnie zdobyłem najwyższą nagrodę dla czeskiej fantastyki - Nagrodę Akademii SF, Fantasy i Horroru, tak samo, trzykrotnie nagrodę Karela Čapka, dwukrotnie nagrodę Fantasy itd. Wydałem osiem książek i mnóstwo opowiadań, współpracuję z czasopismem "Pevnost", tworząc cykl o zapomnianych bitwach w historii. Jestem żonaty, mam piękną córkę, Eliškę, piękną żonę Alžbietę, a poza tym uwielbiam podróżować.

Na tego człowieka, który wynurzył się z mroku i sunął przez nasze żyto, nie zwróciłbym uwagi. Ale w tym momencie dla odmiany krzyknęła w domu mama. Spojrzałem w tamtym kierunku i zauważyłem go, kiedy był już jakieś pięćdziesiąt jardów przed stodołą. Rozgarniał żyto i miał naprawdę dużo szczęścia, że po nim nie deptał, ponieważ nie wolno tego robić. Ale i tak zdecydowałem się, że na niego krzyknę, bo na naszej ziemi nie ma czego szukać. Takich natrętów, co ciągle coś sprzedają, jest tu cała masa. Żadne nowe, cudowne garnki nas nie interesują.

Jednak nim się zdecydowałem, już się rozmyśliłem. Ten tutaj nie był żadnym obcym...

- Widzisz go? - szturchnąłem Tommy'ego. W gardle coś mi stanęło, jakbym miał anginę.

- Nie. - Tommy już leżał i powieki mu opadały jak meksykańskie rolety.

- Tam - powiedziałem i przytrzymałem mu głowę tak, żeby nie mógł patrzeć nigdzie indziej niż na tego faceta.

Odegnął mnie i nawet nie pomyślał, żeby otworzyć oczy.

- Nic nie widzę, nie zwracaj głowy.

Czyli tego faceta widziałem tylko ja. Może to dobrze, bo Tommy na pewno zacząłby wrzeszczeć. Ten gość był bowiem naszym tatą. Właśnie tym, który powinien teraz leżeć w kuchni na tapczanie i wymiotować krwią do blaszanego kubła. To był tata! Miał na sobie świąteczny, czarny garnitur, który wkładał, kiedy z mamą w niedzielę szli do miasta na mszę. Miał takie same włosy i w ustach żuł żdźbło, tak samo jak on.

Tylko że ten tata trzymał w ręce kosę.

* * *

Prawie mnie udusiła. Mama już taka jest. Mrużyłem oczy od lampy i w ogóle nie rozumiałem, o czym mówi. Ziewnąłem i spojrzałem na brata. Spał jak zabity.

- Tommy'emu powiemy to dopiero rano. - Mama zaszlochała, po czym dała mi całusa w czoło. Robiła tak zawsze, kiedy mi było smutno. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że to się już naprawdę stało. - Tatuś umarł, Andy. - Przełykała ślinę jakby miała buzię pełną prymki i była właśnie w kościele, gdzie nie wolno pluć. - Już nie... Już nie zdąży obejrzyć twojego wynalazku... - obejrzała się na wrota, gdzie wisiały dwie czerwone i dwie żółte żarówki, i rozplakała się tak, że zaczęły jej się trząść ramiona.

Pomyślałem, że to jest jedyna korzyść, bo gdyby tata zorientował się, że zabrałem mu z latarki baterie, z pewnością przeciągnąłby spinningiem po moich plecach.

* * *

To była strasznie głupia noc. Opierałem się o słup, a w oczy świeciły te cztery żarówki, za które jeszcze przedwczoraj dałbym się pokroić, a teraz byłoby mi naprawdę obojętne, gdyby wszystkie naraz pękły. Mama położyła głowę na moich kolanach i płakała prawie aż do rana. W domu bała się zostać. Tata był martwy, a ten drugi...

Wcale nie chciałem o nim myśleć. Prędzej o tym swoim wynalazku. Zamknąłem oczy, najmocniej jak to było możliwe, i wyobraziłem sobie, jak to będzie, kiedy w Boże Narodzenie obwieszę choinkę różnobarwnymi żarówkami i potem je zapalę... Zobaczyłem ją przed sobą, żółte, pomarańczowe i niebieskie światełka, jak w bajce...

- Andy - wyszeptała niespodziewanie mama i pogłaskała mnie po ręce. Nawet nie zauważyłem, że znowu się obudziła. - Jutro tam musimy iść. Pójdiesz ze mną, dobrze? Musimy tatę ubrać zanim przyjdzie pastor. I... i...

Zasypiała. Gładziłem ją po włosach, które już dawno zrobiły się siwe, i rozglądałem się wokół siebie. Patrzyłem na popękane ściany z nie wypalanej cegły, które lada chwila się rozsypią, i na słup, i zastanawiałem się, czy ta stodoła w ogóle wytrzyma do czasu, kiedy urosnę na tyle, żebym sam potrafił cokolwiek tu naprawić. Na zewnątrz było słychać wróbla, a gdzieś daleko za domem, nasze psy czekały jak oszalałe. Psy tak robią, kiedy ktoś w domu umrze...

Może przysnąłem na chwilę. Tego snu, który miałem, nie kupiłbym nawet za centa rozjechanego przez pociąg. W oczy świeciły mi te dwie czerwone i dwie żółte żarówki. To jeszcze było prawdziwe. Chyba prawdziwe. Potem te żółte niemal zgasły. Powolutku, jakby ktoś bawił się potencjometrem. Tylko że to było niemożliwe, ponieważ ja żadnego potencjometru nie montowałem. Potem już świeciły tylko te dwie czerwone. W tym śnie dziwiłem się temu. Naprawdę! I nagle otworzyłem oczy...

Okazało się, że czerwone żarówki zgasły. To świeciły dziwne oczy kogoś zagląającego przez dziurę we wrotach stodoły.

* * *

- Nie mam czasu - burknął Tommy.

- A myślisz, że kto to za nas zrobi? - zawarczałem wściekle i rękawem starłem z czoła mieszankę potu i prochu.

- W piątek przecież przyjdzie wujek Matt, nie? - odciął się. - Tych parę cieląt oznaczy sam...

- A ja powiedziałem ci, że oddzielimy cielęta od krów już dzisiaj, żeby nie tracił na to czasu, jasne?

Doskoczyłem do niego i dzieliłem go po głowie. Zaczął wrzeszczeć, jakby go przypiekano na ogniu... Pewnie liczył na to, że mama wyjrzy z kuchni i znowu będzie go bronić, biedaka. Ale tym razem ma pecha, maminsynek jeden. Mama dobrze wie, na czyjej głowie stoi to wszystko... Musiałaby być po mojej stronie, nawet gdyby się jej to akurat nie podobało. Więc woli zostać w kuchni, piec tortillę, mieszać fasolę i udawać, że nic nie słyszy...

- Już, wyplakałeś się? - zawarczałem, niemal tak, jak to robił tata. - Jeśli tak, to idziemy...

Natychmiast zapomniał o kasztanowym kucyku, na którym pewnie chciał się przejechać. Naburmuszył się, ale uciec się nie odważył. Dobrze wiedział, że gdzieś poza maminy zasięgiem wygarbowałbym mu plecy.

Wyciągnąłem do niego rękę i przybiliśmy sobie piątkę, jak poganiacze, kiedy po tygodniu wyjdą ze stadem na drogę. Nie dziwiłem się mu. Mnie także nie bawiło wszystko to, co trzeba robić, wiadomo... Znacznie chętniej bym oglądał u pana Poznicka w magazynie nowe żarówki i druty, i przełączniki. Tysiąc razy chętniej... Nigdy wcześniej nie przyszłoby mi do głowy, że będzie mi taty brakować. Ale teraz, jego prawie codzienne pokrzykiwanie, jakim jestem nieudacznikiem, bo nie umiem tego i tamtego, zniósłbym spokojnie...

- A nie mogę jutro...? - spróbował Tommy.

Pokręciłem przecząco głową.

- Jutro przyjdzie wujek Matt. Co najmniej do poniedziałku nie skończy, chyba żeby wziął sobie jakiegoś pomocnika. Też uważa, że jestem na to za mały...

Na horyzoncie powiew wzniosł do nieba chmurę kurzu.

- Kto to? - usłyszałem Tommy'ego i obejrzałem się.

Był tu. Stał w życie niczym strach na wróble. Tylko podskakujące odbicie słońca na błyszczącej kosie mówiło, że się porusza...

Tym razem nie wyglądał jak tato. Ani trochę. Miał na sobie stary płaszcz, jaki się nosiło jeszcze za dawnych czasów. Długie włosy wiatr zawiewał mu na twarz, a pod rozpiętym płaszczem błyszczała srebrna sprzączka paska. Taką nosił jedynie pan Gampard. Nigdy go nie widziałem z bliska, zawsze pokazywał mi go z daleka tato. Podobno to był najlepszy strzelec w Teksasie, ale to już dawno minęło. Dziś chodzi w swoim starym stroju, żeby o tym nie zapomniano, poza tym jego kolty są mu na nic.

- Dzień dobry! - krzyknąłem. - To jest nasze żyto!

Poruszył się. Właściwie nie kroczył. Tylko tak jakby sunął między kłosami. Patrzyliśmy na niego a po plecach przechodziły nam ciarki. Przynajmniej mi na pewno.

- Dziwnie wygląda - wyszeptał Tommy i naraz trzymaliśmy się za ręce jak małe dzieci.

Wystąpił z żyta zanim zdążyłem zdecydować, co zrobić.

- Dzień dobry - powtórzyłem. To, co tu szło, nie był żadnym człowiekiem. I, rzecz jasna, nie było ciężko zgadnąć, co zdarzy się dziś w mieście. Kiedy to przyszło do nas, miało twarz taty, i ten zaraz potem umarł... Teraz wygląda jak pan Gampard... To spojrzało na mnie pustymi oczyma i kiwnęło głową. Tak, jakby czytało mi w myślach. - Nasze żyto... - zacząłem znowu. To zamierzyło w naszym kierunku. Wąskie oczy pana Gamparda się wyostrzyły, jakby były częścią obrazu telewizyjnego. Oblicze mu się zmieniło i przez króciutką chwilę patrzyłem na swoją własną twarz.

- To jest moja droga. - powiedział nieznajomy cicho i tak jasnym głosem, jaki mają panowie, którzy śpiewają w kościele. - Zawsze była...

Przeszedł pomiędzy nami i zamierzył prosto do miasta.

- Kto to był? - zaszeptał znowu Tommy.

- Idź, zapytaj się mamy, kiedy będzie obiad...

Poczekalem, aż za Tommym zamkną się drzwi domu i pobiegłem do stodoły. Z półki zabrałem chlebak, w którym mam przygotowane wszystkie potrzebne przedmioty na wypadek powodzi, pożaru, itepe... Wybiegłem na zewnątrz i zamierzyłem w kierunku żyta, by zdążyć, zanim Tommy znowu wylezie z domu...

Musiałem wykorzystać nieobecność nieznajomego. Podeszedłem na skraj pola i przyjrzałem się tej falującej powierzchni. Zboże sięgało mi ledwie do pasa a naprzeciw było widać jego zębaty kraniec.

- Co teraz? - zapytałem sam siebie i zrobiłem krok w żyto.

Nic. Tylko jakieś źdźbło wlało mi pod koszulę i połaskotało mnie po brzuchu. Ostrożnie rozgarniałem kłosa. Tędy chodzi. Tutaj się pojawia w czyjejs podobiznie i ten człowiek potem umrze.

Śmierć.

Pastor by mnie dzielił miotłą przez goły tyłek, przed wszystkimi, wystarczyłoby o tym tylko wspomnieć. O tym, jak naszym polem przechadza się śmierć...

Obróciłem się na pięcie. Nigdzie nic. Żyto po jednej stronie zaczynało się, a po drugiej kończyło. Wszędzie wokół pastwiska. Żadnego gaju, ani bagna, skąd by mógł przychodzić...

Cholera! Że też nie wpadłem na to wcześniej. Podziemny tunel! Gdzieś tutaj musi być schowana pokrywa, a pod nią Hades. Tam zanosi ich w worku... Tatę, pana Gamparda, w zeszłym roku ciocię Norwell...

Nie wiem, co mnie ostrzegło. Nagle poczułem, że muszę się odwrócić.

Nadchodził. Słoneczne promienie tańczyły na jego kosie, która z daleka puszczała mi zajaczki po oczach. Kroczył z głową pochyloną, jakby mu ciążyły wyrzuty sumienia za to, co zrobił. Wraca, przeleciało mi przez głowę. Teraz nie będzie wyglądać jak pan Gampard, ani jak tata...

Wyobraziłem sobie puste oczodoły i spojrzałem w kierunku domu. Ten głupi Tommy na pewno podjada. A ja tu sam...

W tym momencie to podniosło głowę. Jeszcze było zbyt daleko, ale i tak widziałem, że nie ma nic wspólnego z ludzką twarzą. Nogi mi zeszywniały z przerażenia i nie mogłem nawet się ruszyć.

Nadchodził i nic nie mogło go zatrzymać. Nawet mama, gdyby teraz wybiegła z domu... Kłosa rozstępowały się przed nim i pokazywały mu drogę prosto do mnie. Nawet gdyby był ślepy, musiałby mnie w tym polu znaleźć. Biała, przerażająca twarz rozmasała się jak w gorącym powietrzu i zaczęła zmieniać. Nie tylko twarz, kurczył się. Cały się zmieniał...

Zaczekałem, aż mu na ciele objawią się takie same piegi, jakie mam ja i zamknąłem oczy.

Śmierć przyjął moją podobiznę. Przyszedł po mnie...

- Do ciebie... - poprawił mnie z ciemności za zaciśniętymi powiekami Jego głos. - Śweczka twojego przeznaczenia jeszcze nie zgasła. Dlaczego więc mnie szukasz?

* * *

Nagle wyglądał jak mój brat. Jak gdybyśmy byli bliźniakami, takimi zupełnie identycznymi. Miał na sobie to okropne ubranie, w którym muszę chodzić do szkoły. Nawet tę głupią czapkę, którą musiałem całą posypać solą, żeby ją gniadosz taty przeżuł na filcową papkę. Inaczej tego nie dało się zrobić, nikomu innemu tata by nie odpuścił.

- Ja ciebie nie szukam. - wyszeptalem bojaźliwie.

- Szukasz - skinął głową.

- Nie ciebie! - powiedziałem mocno. - Szukam drogi tam... Ale chyba lepiej byłoby jej nie znaleźć, prawda? Można znaleźć ją tylko raz i później już się nie wraca, nie?

- Po tej ścieżce wędruję tylko ja - kontynuował tym samym tonem co poprzednio. - Ja tylko przychodzę i powiadam: "Zgasła". Jestem jedynie posłańcem złej wiadomości...

Rzuciłem okiem w kierunku domu. Tommy z pewnością jeszcze wylizywał miskę ze śmietankowego kremu.

Śmierć sobie to wyjaśnić inaczej.

- Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, to nie musisz. Myślałem, że możemy się zaprzyjaźnić, skoro mam Ścieżkę tak blisko twojego domu...

Najchętniej uciekłbym, ale nie miałem odwagi.

- Tylko sprawdzałem, czy Tommmy'emu nic się nie stało, bo jeszcze go nie ma... - wzruszyłem ramionami.

- Na razie jeszcze nie - odpowiedział. - Ale jego świeczka jest już bardzo mała...

Serce mi zamarło.

- Jak to? - wyszeptałem przerażony.

Gdyby coś stało się Tommmy'emu... Tego mama by już chyba nie przeżyła. Tommy - jej ulubieniec. Zostałbym jej tylko ja, a ja zawsze byłem dopiero po nim i tacie...

Zrobiło mi się bardzo smutno. Śmierć podniósł rękę i otarł łzę z mojego policzka. Pewnie myślał, że to z powodu Tommy'ego.

- Twój brat przesadza z miłością do matki - kontynuował, jak gdyby nigdzie się nie śpieszył. Jak gdyby akurat teraz na calutkim świecie nikt nie umierał... - Będzie chciał jej zrobić przyjemność i pomóc ojca...

- Ten dziesięcioletni szczył pójdzie na grzechotnika? W życiu go nie widział, chyba tylko martwego! Nawet nie wie, jak go znaleźć! Zauważy go dopiero, kiedy na niego nadejście...

- Właśnie - skinął Śmierć. Obszedł mnie i nagle go nie było.

* * *

Czatowałem na niego dwa dni. Chyba wychodzi także innymi wyjściami, a tędy tylko wtedy, gdy musi do naszego miasteczka. Dziś wyglądał jak Jack, który opiekuje się końmi w gospodzie. Jak tylko mnie zauważył, ruszył ku mnie i przemienił się na moich oczach.

- Miło mi, że mogę znowu z kimś porozmawiać - powiedział do mnie. - Każdy się mnie boi. Ale nie ty.

- Boję się o Tommy'ego...

Wronie oczy jeszcze bardziej pociemniały. Zarzucił sobie kosę przez ramię i chciał przejść obok mnie.

- Poczekaj...

- Tak jest zawsze - huknął na mnie z wyrzutem. Powrócił do poprzedniej postaci. Znowu wyglądał jak ten pijaczyna Jack. - Kiedy się z kimś zaprzyjaźnię, wcześniej czy później każdy chce to wykorzystać... Zawsze...

- Tommy jest mały... - spróbowałem. - A jeśli pozwolisz mi go uratować... - wzruszyłem ramionami. - Nie wiem, ile masz lat, ale moglibyśmy na przykład przejechać się końmi po prerii... Potem...

Zatrzymał się i obrócił ku mnie. Połowę twarzy miał moją, a ta druga wyglądała jak Jack po drugiej kolejce whisky.

- Dobrze - skinął wesoło. - Zrobię sobie przerwę. Ale nic ci nie mogę obiecać, Andrew. Jeśli ochronisz go przed grzechotnikiem, przydarzy się mu coś innego. Światło jego życia już przygasa... Ma tylko tydzień...

- Inną świeczkę?

- Tak się nie da - pokręcił głową. Znowu się odwrócił i zamierzył do miasteczka, gdzie za chwilę w stajni koń miał wierzgnąć tylnymi kopytami i przybić Jacka do ściany...

* * *

Nie mogłem ryzykować, że następnym martwym w okolicy będzie właśnie Tommy. Wtedy nie dałbym już rady załatwić nic. Musiałem przedsięwziąć coś, zanim Śmierć powróci z miasta...

Nie zastanawiałem się długo. Kopniakiem otworzyłem wrota do stodoły i wbiegłem do wewnątrz. Oparłem o ścianę drabinę, wdrapałem się na nią i sprawdziłem żarówki, jedna po drugiej, szukając tej, która mogłaby wytrzymać najdłużej. Jedną, której obrączka była dziwnie luźna, odłożyłem, pozostałe trzy położyłem na półce. Obok stała bateria. Potrzebowałem, żeby trochę odpoczęła, na nową mnie nie było stać...

Teraz mogłem już tylko czekać. Spojrzałem na dom i zobaczyłem w oknie mamę, jak akurat dokładała do ognia. Kolorowych światełek na Boże Narodzenie już jej nie dam, ale ten podarunek na pewno będzie lepszy. Jeśli Śmierć mi na to pozwoli...

* * *

Naprawdę wyglądaliśmy jak dwaj bracia. Tylko ja umiałem jeździć, a on w siodle chwiał się jak gruszka na wietrze.

Kopnąłem swojego gniadosza, którego odziedziczyłem po ojcu, i wysforowałem się do przodu.

- I co? - krzyknąłem do swojego nowego przyjaciela. - Co powiesz?

Wcale mu się ten pomysł nie podobał, ale chyba naprawdę chciał mi pójść na rękę. Nie musiał nic mówić, znałem bajki. Każdy znajomość z nim tylko wykorzystywał. Śmierć pomagał swoim przyjaciołom, robił z nich słynnych lekarzy, i nie wiem co jeszcze. Zawsze się to na nim mściło, ale ciągle wierzył, że kiedyś jakiegoś przyjaciela naprawdę odnajdzie. Było przyjemne wiedzieć, że wybrał sobie akurat mnie. Każdy przecież chce, żeby jego przyjaźń trwała zawsze, jak najdłużej, całe życie... To mogłoby znaczyć, że tam u niego na pewno nie będę miał najkrótszej świeczki...

- A jak wygląda ta żarówka? - krzyknął po chwili w odpowiedzi. Trzymał się grzywy oboma rękoma i miał przerażenie w oczach, jak gdyby się czegoś bał. Chyba upadku, bo umrzeć przecież nie mógł.

- Już ci ją pokazywałem przecież! Ta szklana bańka...

Słoneczny krąg dotknął zachodniego krańca horyzontu, a my powoli skierowaliśmy się do domu. Nie byłoby mądre tulać się z nim po prerii po zmroku. Są tam wszędzie dziury po pieskach preriowych, a mój przyjaciel nie był zbyt dobrym jeźdźcem... Szarpnąłem uzdę przed polem, zeskoczyłem na ziemię i ostrożnie, szerokim krokiem, wszedłem w żyto.

- No dobrze - usłyszałem nagle. - Weź ze sobą te rzeczy i...

- Jutro moglibyśmy pójść nad rzekę na ryby, jak myślisz? - rzuciłem do niego.

Wyglądał zupełnie tak samo jak ja, kiedy wujek Matt pierwszy raz zaproponował mi pójście na ryby. Tylko w przeciwieństwie do mnie, on zakręcił głową.

- Jutro mam pracę - odpowiedział. - Ale za parę dni, kiedy upał zelżeje, nie będzie tyłu umierać, wtedy czekaj na mnie... Jeszcze nigdy nie byłem na rybach... - zatrzymał się i wyciągnął do mnie rękę. - Pośpiesz się, Andy! Skoro to twój brat...

Biegiem rzuciłem się do stodoły. Zabrałem z półki żarówkę, powsadzałem je do kieszeni i wróciłem z baterią w dłoni. Śmierć złapał mnie za rękę i ruszył prosto w środek pola.

* * *

Zupełnie nic z tego nie pamiętam. Tylko to, jak pole stało się nagle ogromne, jak gdyby nigdy się nie kończyło. Gdzieś daleko trzasnęły drzwi. Mama, błysnęło mi w głowie, ale nawet nie pomyślałem oglądnać się. Szedłem za nim. Przez żyto...

* * *

Wszędzie wokół siebie widziałem kłosa. Nie wznosiliśmy się do nieba, ani nie schodziliśmy pod ziemię, jak sobie wyobrażałem, że powinniśmy. Szliśmy stale do przodu. Bardzo długo! Już nie czułem dłoni, w której ścisnąłem baterię. A przełożyć jej do drugiej nie mogłem, bo trzymał mnie za nią Śmierć.

A potem zakręciło mi się w głowie. Zimny, porywisty wiatr, jaki bywa chyba tylko w lutym, omal nie podcinając mi nóg, zmiotł mnie gdzieś w dół. Już nie byliśmy na polu. Na ziemi także nie. Stałem na wielkim, białym głazie, a wszędzie wokół panowała ciemność. Wujek Matt, który nie chodzi do kościoła, a pastor to według niego najcieplejsza posadka dla gości, którzy boją się zedrzyć skórę porządną pracą, kiedyś mi opowiadał, że żadnego nieba ani piekła nie ma. Że jest tylko czarno-czarna ciemność, w niej miliony srebrnych nici, a każda z nich to czyjeś życie. Między nimi latają ślepi aniołowie z żelaznymi skrzydłami i przecinają czyjąś srebrną nić szybciej, niż się spostrzeże... Zawsze mówiłem, że jest to najcudowniejszy wujek pod słońcem, chociaż dosyć dziwny. Teraz pewnie bym go przeprosił. Bo to wszystko wokół było znacznie dziwniejsze niż opowiadał.

- Chodź, Andy! - powiedział chłopak przede mną, ten, który wyglądał jak ja, nosił kosę i opiekował się jakimś dwoma miliardami świeczek. - Tam! - wskazał do przodu, odbił się i poleciał strasznie daleko na kolejny biały, półprzezroczysty głaz. Wziąłem rozbieg i skoczyłem za nim, prawie jak w zwolnionym tempie wzniosłem się i po chwili opadłem na kolejny kamień. Nie dało się w niego nie trafić. Może miał tu to tak urządzone... Znowu wskazał przed siebie.

Ocean płomyków!

Skakaliśmy z jednego kamienia na drugi, stale niżej. Światło świeczek tworzyło z nich oświetlone klejnoty. Może nawet nimi były.

- To jest kryształ? - zapytałem się na jakimś dwunastym kamieniu i zatupałem nogą, żeby od razu zrozumiał, o co pytam.

Pokręcił głową ze smutkiem.

- To jest sól, Andy. Z łez tych, którzy pozostali...

Ostatnim skokiem opadł aż na dół. Płomienie kilku świeczek zatańczyły jak na wietrze.

- Uwaga...

Wymamrotałem do siebie i długo się decydowałem, mierząc swój ostatni skok. Gdybym się pomylił...

- Łap! - krzyknąłem, i rzuciłem mu baterię, a potem, jedna po drugiej, wszystkie trzy żarówki. I skoczyłem. Prosto pomiędzy słupy tłustych wysokich świec noworodków, przy których topniały pokręcone, dogorywające knoty ich pradziadków...

Noga mi się podwinęła i miałem trochę problemów, żeby nie wywrócić się prosto między te świece. Jednak ustałem i wściekle splunąłem. Syk mnie poinformował, że niechący trafiłem...

- Tak nie wolno, Andy. - pouczył mnie Śmierć, niepotrzebnie. Obrócił się i wąską ścieżką ruszył gdzieś dalej. Miałem iść za nim. Jeszcze się tylko obejrzałem, która to świeczka właśnie zgasła, ale w mroku, wzmocnionym jeszcze światłem innych świec, nic nie było widać....

* * *

- Tutaj - powiedział, kiedy w końcu się zatrzymaliśmy.

Jakieś dwa metry przed nami wznosiła się słona ściana, a przed nią stał płot żółtych świeczek. Jedna obok drugiej, gorejące cudownym i jasnym płomieniem. Niektóre były wyższe, inne niższe, to zrozumiałe. Tylko jedna kurczyła się za pozostałymi, dokładnie przy ścianie. Była cała pokręcona, płomień musiał długo ogrzewać tylko jedną stronę świeszki. Ta topniała i w ten sposób umożliwiała spływanie wosku i szybsze wypalanie się. Teraz to się zmieniło. Płomień się obrócił i zaczął topić wosk z drugiej strony. Topniejący wosk atakował płomień i dusił go krok po kroku. Ognik już świecił nie wyżej niż pół palca nad kamienną podłogą.

- To twój brat, Andy.

Kiwnąłem, że rozumiem.

- Gdzie mam to postawić?

- W tym samym miejscu, jeśli to ma być jego światełko...

Obszedłem świece, żeby zobaczyć, którędy dałoby się dostać do światełka Tommy'ego.

Nie dało rady. Otaczały go niczym straż.

- Mógłbyś postawić te świece gdzieś obok?

- Wszystkie muszą zostać na swoim miejscu. Gdybyś którąś z nich przesunął...

Jakieś światełko, jedno z tysiąca, które widziałem blisko nas, zgasło. Zniknął na chwilę. Posłaniec złej wiadomości...

Mogłem zaczynać. Szybko postawiłem baterię tak, żeby nie przeszkadzała a jednocześnie stała blisko Tommy'ego. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem kłębek izolowanego, miedzianego drutu, porządny kawałek odmotalem i ukręciłem go. Zębami zerwałem izolację, obnażając dostatecznie długi kawałek, bym mógł go okręcić wokół ogniwa baterii a także przy żarówce.

W międzyczasie wrócił Śmierć i ciekawie spoglądał mi na ręce.

- A gdzie pójdziemy na ryby, Andy?

- Nad rzekę, do takiej zatoczki porosłej trzcinami... - zastanowiłem się, jak mu to lepiej wyjaśnić. - Kiedy byłem jeszcze mały, to ktoś się tam utopił...

- A jakie są tam ryby?

- Pstrągi jak ręka. Zerwą ci żyłkę, jeśli nie będziesz uważał...

Skręciłem końcówki drutu i odetchnąłem. Już za chwilę...

- W to samo miejsce? - upewniłem się.

Kiwnął i wściekły odwrócił się, znowu zgasły jakieś dwie świece. Znowu będzie musiał na chwilę zniknąć. Nawet mi to nie przeszkadzało, niezbyt lubiłem, kiedy ktoś gapił się, jak pracuję...

Już miał zniknąć, ale potem uświadomił sobie, że już prawie skończyłem.

- Zaczekaj, Andy - poradził mi cicho. Twarz znowu mu się rozmazywała i zmieniała... Szykował się na spotkanie z kimś innym, a z drugiej strony ciągle jeszcze rozmawiał ze mną. Nie mogłem ustalić swojej postaci.

- Dlaczego?

- Poczekaj, aż będzie gasła.

- A kiedy to będzie?

Ukląkł i zbliżył twarz do płotu świec, za którym skrywała się ta Tommy'ego. Przyjrzał się jej i potrząsnął głową.

- Jeszcze dziś. Ale poczekaj na mnie, dobrze?

Skinałem, i zostałem sam. Miałem teraz czas, żeby sobie to wszystko porządnie obejrzeć. Udałem się ścieżką kawałek w górę i obróciłem się... Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Morze nieruchomych ogników. Wystarczyło zdmuchnąć któryś z nich, żeby ściana łez znowu trochę urosła.

Spojrzałem na świeczkę Tommy'ego i wstrząsnęło mną! Gasła. Szybciej niż tego oczekiwał Śmierć, na pewno... Pobiegłem ścieżką z powrotem i ledwie udało mi się wyhamować.

Płomyczek Tommy'ego był już jak iskierka. Jeszcze chwila i zgaśnie! Cholera! Jak kuguar w klatce obiegałem świeczkowy płot, przez który nie mogłem się przedostać. Płomyk słabł coraz bardziej...

- Śmierci! - krzyknąłem.

Nie mogłem mnie słyszeć. W gardle poczułem wielką kluchę, kiedy pomyślałem o tym, co muszę zrobić, ale nie miałem żadnego innego pomysłu. Żarówkę, która miała zastąpić świeczkę Tommy'ego, spróbowałem przesunąć między pozostałymi. Ale nie dało się... A mojego przyjaciela ciągle nie było...

Wyobraziłem sobie Tommy'ego, jak na jego ciele pojawia się zimny pot, jak mu puchnie język i zaczyna się dusić... Złapałem najbliższą tłustą, wysoką świeczkę i wyrwałem ją. Zrobiło się trochę miejsca. Włożyłem nowe światełko Tommy'ego w roztopiony wosk i połączyłem druty.

Była to czerwona żarówka, świeciła inaczej niż te dwa miliardy ogników, ale to działało.

Za mną ktoś odkaszlnął. Obróciłem się i wstałem. Spojrzałem na przewróconą, zgaszoną świeczkę i wzruszyłem ramionami, czując się winny.

- Ja...

- Nie przepraszaaj - powiedział Śmierć. - Ta była twoja, Andy...

Nigdy bym nie powiedział, jak piękne może być, kiedy w jednym wąskim ostrzu kosi odbijają się dwa miliardy żółtych ogników i jeden czerwony. Był sprawiedliwy. Zamachnął się i siekł. Wcale to nie bolało, wytrzymałem to jak każdy prawdziwy mężczyzna...

Płakał on. Stracił przyjaciela.

Tłumaczył z czeskiego: A.Mason